



M.D. (Mirosław Derecki)
EKTRAN I WIDZ: UDREKA I EKSTAZA

Nie byłem dotąd niewolnikiem „małego ekranu”, a to z powodu specyficznego ćwiczenia woli, jakie od kilku lat uprawiam. Polega ono na konsekwentnym wydawaniu pieniędzy na różne zdrożne uciechy zamiast przeznaczania ich (pieniędzy), jak każdy szanujący się obywatel, na zakup telewizora. W związku z czym w hierarchii społecznej jestem, zerem, jednostką dobrowolnie wyobcowaną. Co pewien czas budzi się jednak we mnie instynkt stadny. Wyruszasz wówczas do znajomych. Ponieważ znajomi, jak wszyscy znajomi, posiadają telewizor, natychmiast po przywitaniu - jak obyczaj Polaków każe - przekręcają gałkę i podejmują mnie biesiadą telewizyjną.

Każda kolejna telewizyjna nasiadówka rozszerza moje horyzonty, pozwala włączyć się w psychikę ludzką, czynić obserwację nad wieczną, tęsknotą, rodzaju człowieczego do uprawiania perwersji. Przyznaje, że w początkowej fazie ja także, w bezustannym oglądaniu polskiego programu telewizyjnego, dostrzegałem groźne zjawisko zanikania życia towarzyskiego w ogóle, zaś wyjaławianie umysłów w szczególności. Potem skłoniłem się raczej ku teorii głoszącej, że telewizję oglądamy w celu samoumartwienia się, świadomego zadawania sobie bólu, i to był już krok w kierunku teorii teleperwersji gromadnej. Jednakowoż dopiero podczas świąt utwierdziłem się co do słuszności tej ostatniej teorii.

A było to tak: w pierwszy dzień świąt bezpardonowy imperatyw skierował me kroki ku najbliższej zaprzyjaźnionej podstawowej komórce społeczeństwa.

Telewizja Polska przygotowuje na takie okazje dania specjalne, pozwalające na wytworzenie nastroju intymności (chcąc nie chcąc, trzeba wszak zgasić światło), oraz na wykluczenie rozmów przy stole, które są rzeczą niebezpieczną; literatura fachowa odnotowała już niejedną przypadłość zadławienia się ością karpia przez gadatliwego biesiadnika.

Przy drugiej butelce wina podano... „Estradę literacką”. Nawet się ucieszyliśmy, bo w poprzednich dniach karmiono podobno widzów głównie kiszonkami, rośnymi pokrętłami oraz fauną i florą morską ze szczególnym uwzględnieniem procesu pożerania małych rybek przez duże, a tu nagle, o dziwo! - „żywe słowo”, muzyka fortepianowa, śliczna czołówka programu z wizerunkiem „Frycka” oraz nut jego własną ręką pisanych, słowem -

„Korespondencja Chopina”. A potem jedna pani, sławna aktorka, usiadła sobie przy stoliku, włożyła na nos okulary, otworzyła grubą książkę i zaczęła czytać.

Tymczasem podano kaczkę z jabłkami (u znajomych a nie w Telewizji), więc zabraliśmy się do jedzenia sądząc, że wkrótce zacznie się dziać na ekranie coś interesującego, to sobie znowu popatrzymy i nie będziemy musieli prowadzić nudnej, towarzyskiej konwersacji. Ale zdążyliśmy zjeść, a ta pani ciągle jeszcze czytała, z tym, że po kilkunastu minutach zaczęła się przesiadać z miejsca na miejsce, zapewne po to, żeby wprowadzić tzw. „element ruchu scenicznego”. Czasami reżyser programu się nudził, więc naciskał guzik i na ekranie widać było nuty, lecz głos pani ciągle dochodził spoza tych nut. Ale tego nie można było ciągnąć w nieskończoność, więc ostatecznie reżyser znowu włączył panią. Ją już audycja też musiała dobrze znudzić, bo zaczęła czytać bardzo monotonicznie, chociaż co kilka minut zdobywała się na wysiłek i uśmiechała się do książki.

Wówczas mój gospodarz zrobił coś, co w pierwszej chwili wydało mi się „studenckim” dowcipem, a dopiero później uświadomiłem sobie, że to świadoma czynność dorosłego człowieka, który z niejednego pieca chleb jadł i niejednej rozkoszy w życiu doświadczył. Otóż gospodarz wyłączył telewizor. Siedzieliśmy przez chwilę w ciszy, ale powoli zaczęło w nas narastać przemożne pragnienie, żeby przekręcić gałkę i przekonać się, czy pani czyta dalej. Napięcie rosło, członki nasze powoli ogarniało niepowstrzymane drżenie, aż wreszcie ktoś nie wytrzymał i... wyłączył. Czytała dalej. Przebiegło po nas coś jak prąd elektryczny.

Zapomnieliśmy nawet o jedzeniu. Gospodarz poderwał się ze zduszonym okrzykiem z fotela i wyłączył głos a zostawił sam obraz. Dalej czytała. I choć nie słyszeliśmy głosu wiedzieliśmy, że z ust jej nadal padają jednostajnie, równo odmierzane słowa i z zamierającym sercem śledziliśmy, czy uśmiechnie się w przewidzianym przez nas momencie. Potem gospodarz włączył radio. Akurat nadawano dziennik. Równomierny głos spikera precyzyjnie podkładał się pod ruch warg pani na ekranie. Potem zmieniliśmy falę. Towarzystwo wyraźnie rozruszało się. Zaczęto podsuwać mistrzowi ceremonii coraz bardziej wyrafinowane pomysły. W końcu biesiadnicy wpadli w rodzaj ekstazy, zaczęli dostawać lekkich konwulsji, tracili świadomość.

Wtedy reżyser programu uznał, że czas kończyć, pani zamknęła książkę i przestała czytać. Nie wiem, jak znalazłem się w domu. Rano obudziłem się z piekielnym bólem głowy i szumem w uszach jak po wypaleniu kilku fajeczek opium. Zrazu z wypadków poprzedniego dnia pamiętałem niewiele. Wiedziałem tylko, że przeżyłem PEŁNIĘ. Kiedy nieco później uświadomiłem sobie, że to wszystko było świadomym założeniem Polskiej Telewizji, ta cała ekstatyczna audycja - postanowiłem częściej odwiedzać znajomych.